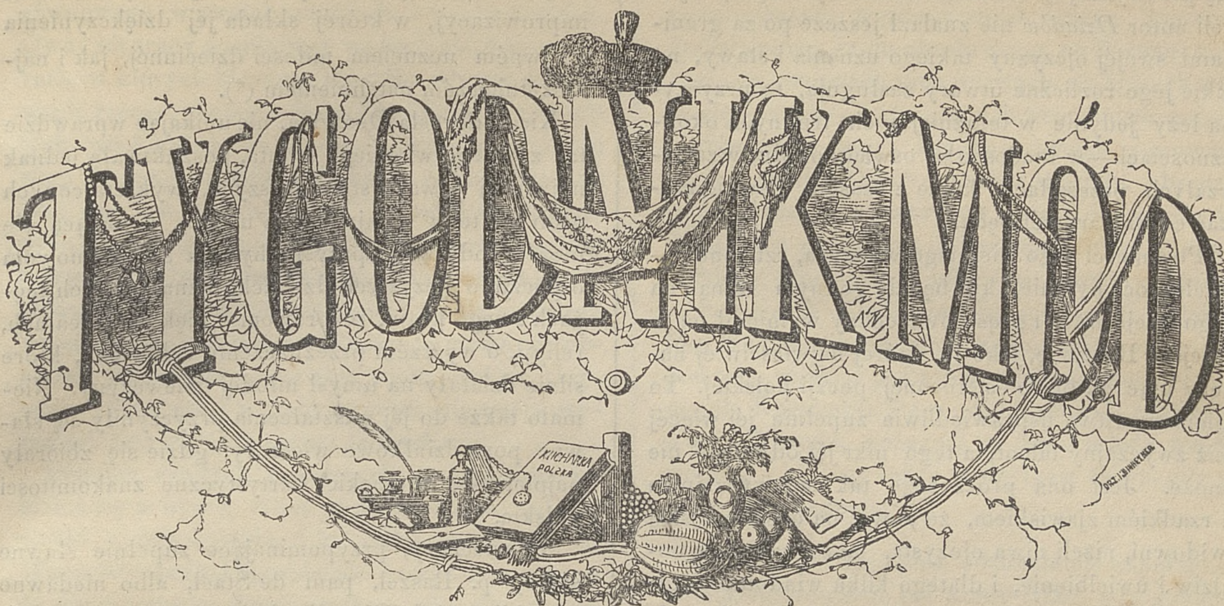
№ 10.

Warszawa, dnia 8 Marca 1862 r. 24 Lutego.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy** adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

KORYNNA POLSKA

PRZEZ

Stefana Grzymałę.

(Dokończenie)

Oto słowa pana Fritza:

„Rzuciwszy spojrzenie na współczesną literaturę polską, musiemy dziwić się bogactwu jéj dzieł poetycznych. W epoce nadzwyczaj stosunkowo ubogiéj we wzniosłe utwory, jak nasza, okoliczność ta zasługuje na szczególniejsze zastanowienie, a Europa zachodnia, tak przeważnie zwrócona ku materjalizmowi, powinnaby zaiste poszukać u swoich wschodnich sąsiadów owego świętego ognia genijuszu i poezji wskrzeszającego życie w obumierającém ciele i rozgrzewającego zastygłe członki.

Przeczytajmy dzieła takiego Pola, Syrokomli, Lenartowicza i tylu innych, tak mężczyzn jak i kobiet, a ujrzemy błyszczącą w nich iskrę owego prawdziwego natchnienia, usposabiającego duszę do śpiewu łączącego się z niebiańską harmoniją w najpiękniejszym, najczystszym akordzie. Tam przemawia nie sam tylko rozum, ale młode, wrażliwe, dostępne każdemu uczucie. Poeci polscy przedstawiają się jako apostołowie miłości, ich słowa jako echa straconego lub spodziewanego szczęścia. Mickiewicz nazywa pieśń polską „arką przymierza“ przeszłych stuleci z przyszłemi, w któréj lud ukrywa i przechowuje swoją broń rycerską, kwiaty swego natchnienia i skarb bezcenny narodowości. Nie podlega wątpliwości, że pod duchownym względem na wschodzie leży dla nas niejeden klejnot do zdobycia, i tylko ubolewać należy, że dotąd okazywaliśmy tak mało współczucia dla piśmiennictwa polskiego. A jednak jest tam dużo pięknych i rzadkich kwiatów, i zaprawdę, wartoby zadać sobie pracę przesadzić je z ziemi rodzinnéj do naszego gruntu.

Już w obrębie prozy znajdujemy znakomite talenta i wielkie zdolności; ale poezja stoi jeszcze wyżéj, bo na tak wysokim szczeblu, iż można śmiało powiedzieć, że już dosięgła zenitu swojéj wielkości, że doszła szczytu swego przeznaczenia. Co na-

przykład wyśpiewał Mickiewicz, nie tylko nie da się przewyższyć, ale może nawet wyrównać; a jeżeli autor *Dziadów* nie znalazł jeszcze po za granicami swojéj ojczyzny takiego uznania i sławy, na jakie jego rozliczne utwory zasługują, to przyczyna leży jedynie w teraźniejszych trudnych okolicznościach—w niedostatku oświaty ogółu, w zastarzałych przesądach, które z czasem, pewnie znikać coraz bardziéj będą.

Po śmierci tego wielkiego wieszcza, rzucono powielekroć pytanie, kto będzie godnym stanąć na jego miejscu?.... i głos powszechny wymienił na to miejsce Deotymę, jako tę, któréj najwłaściwiéj należy ująć za berło osieroconéj poezji polskiéj. To pierwszeństwo usprawiedliwia zupełnie jéj więcéj niż zwyczajny talent, a tego nikt jéj odmówić nie może. Jest ona prócz tego tak nadzwyczajném i rzadkiém zjawiskiem, że nawet na obszerniejszéj widowni, niżeli niwa ojczysta, może wzbudzić podziw i uwielbienie, i dlatego kilka wiadomości zaczerpniętych z najpierwszych źródeł o jéj życiu i dziełach będą zapewne mile przyjęte przez czyczytelników niniejszego czasopismu.

Dziewica występująca pod przybraném imieniem Deotymy, nazywa się Jadwiga Łuszczewska i jest Warszawianką. Już w latach dziecinnych myśli swe przystrajała w cudne szaty poezji. Rodzice lękający się przedwczesnéj egzaltacji szkodliwego wpływu na fizyczne rozwinięcie się dziewczęcia, starali się tamować te dążności, ale nie zdołali jéj przygłuszyć; a ponieważ małéj dziewczynce zakazano przemawiać wierszami do ludzi, zwracała się do ptaków, do drzew i krzewów, aby im wypowiedzieć i wyśpiewać wszystko, co wzruszało jéj duszyczkę. Widok piękności, przyrody i przebywanie z naturą, działało silnie na szybkie rozwinięcie się młodziutkich sił ducha, i w pewnym względzie przygotowały ją do owego górnego lotu, którym później miała tak wszystkich zadziwić.

Jadwiga miała już blizko siedm lat, gdy zaczęła uczyć się czytać i pisać. Zacny jéj ojciec nauczył ją sam jeografji, historji i matematyki, w której tak jak Mickiewicz miała wielkie upodobanie; troskliwa matka zaś, nader wykształcona i wyższego ducha osoba, która nawet została wybrana za członka jednego uczonego towarzystwa we Włoszech (*), wzięła na siebie obeznanie córki z zasadami naszéj świętéj religji, i w tém trzymała się drogi wskazanéj przez własne serce, nie zaś nakazanéj zwyczajem. Do téj zacnéj mentorki, któréj tyle zawdzięcza, zwróciła się młoda poetka w jednéj ze swoich improwizacyj, w któréj składa jéj dziękczynienia z równém uczuciem miłości dziecinnéj, jak i najszczytniejszém natchnieniem (*).

Kiedy dorosła Deotyma, nie unikając wprawdzie tak zwanego wielkiego świata, poszukiwała jednak najwięcéj towarzystwa starszych, wykształconych osób. Wtedy z największą uwagą, niedającą się niczém oderwać, przysłuchywała się rozmowom o poezji, o ojczystych dziejach, o znakomitych mężach swego kraju, rozprawom o pięknie, ideałach, religji, o wyższém przeznaczeniu człowieka, które silnie działały na umysł młodéj dziewczyny. Niemało także do jéj ukształcenia przyczyniły się sławne poniedziałkowe wieczory, gdzie się zbierały najpierwsze literackie i artystyczne znakomitości polskie.

Te wieczory, przypominające zupełnie sławne salony p. Raszel, pani de Stael, albo niedawno zmarłéj pani de Girardin, były rozkoszą wykształconego warszawskiego świata. Tam to pierwszy raz młodziuchna Deotyma wystąpiła z swojemi improwizacjami, a każdy najsłynniejszy, najzasłużeńszy pisarz uważał sobie za zaszczyt spisywać to, co w chwili natchnienia mówiła Jadwiga, a nazajutrz z rąk do rąk podawano sobie godne podziwu poetyczne utwory, i po gazetach udzielano je ogółowi. Na nieszczęście, owe z tylu względów tak pożyteczne Poniedziałki ustały, bo zazwyczaj to co nam jest miłém i przyjemném nie trwa nigdy długo. Już od lat kilku salon pani Łuszczewskiéj jest przystępny zaledwo bardzo małemu kółku wybranych, większe zaś zgromadzenia zupełnie z niego usunięto. Główną przyczyną tego usunięcia się od świata, było szlachetne postanowienie Deotymy oddania się wyłącznie pracy i badaniu dziejów ojczystych, od czego ją liczniejsze zgromadzenia odrywały.

Z całym więc zapałem poetycznéj swéj duszy poświęciła się dokładnemu poznaniu literatury swego kraju i naukom przyrodzonym pod kierunkiem szanownego professora A. Wagi. Z umiejętnym wyborem czytała dzieła dawniejszych i tegoczesnych pisarzy, należących do rozmaitych systema-

(*) *L'Academia dei Arcadi* w Rzymie, w któréj Pani Łuszczewska dostała miano Saffony (Saffo Mitilanea), i z téj okoliczności słynna improwizatorka włoska, Rosa Taddei, napisała do niéj prześliczny wiersz.

(*) Jest to *Hymn do Rodziców*, który z wielkim żalem naszym nie był jeszcze nigdzie drukowanym. Cudny ten i porywający poemat, jest raczéj wykrzykiem gorącéj miłości, dziękczynną modlitwą dziecięcia, hymnem zacnéj córki chlubiącéj się słusznie czcigodnemi rodzicami, *westchnieniem nadziei.* Hymn taki rodzicom Polakom tylko polskie dziecię napisać mogło, bo tylko w Polsce są tak poświęcający się dzieciom rodzice, a każda Polka-córka powinnaby jak modlitwą wieczorną osłaniać niemi wezgłowia ukochanych rodziców. (*Przyp. Tłóm.*)

tów filozoficznych, i tym sposobem przez porównanie różnych zdań zyskała jasność widzenia i pewną równowagę w swoich zasadach i wyobrażeniach. Owoc téj pracy znajdujemy we wszystkich jéj utworach, w których błyszczy nie tylko zdrowe pojmowanie rzeczy, ale także bogactwo wiedzy i rozmaitych wiadomości, na zdobycie których niejeden stary uczony strawił cały długi żywot. Pamięć Deotymy jest nadzwyczajną, i nawet w tak zwanych ścisłych naukach posiada niesłychaną biegłość i pewność. Czyta ona uważnie i komentuje każde pojawiające się ważniejsze dzieło i zbiera z niego wątek do nowych poezyj. Rozumna matka nie obciążała jéj umysłu nauką zbyt wielu języków, trzymając się téj zasady, żeby pamięci nie nużyć wyrazami, lecz lepiéj zbogacać ją myślami.

Pomimo ciągłych poważnych studjów i zagłębiania się w nauce, talent improwizatorski młodéj poetki wzrastał ciągle, i kto tylko przybywał do Warszawy, szukał sposobności otrzymania wstępu do domu państwa Łuszczewskich, aby się przekonać o rzeczywistości tego, co prawie jako cudowne zjawisko poczytywaném było. Komu się udało słyszéć młodą dziewicę w chwilach natchnienia, ten zostawał zarówno zdziwionym jak oczarowanym i oddawał cześć niezrównanéj poetce, z ust któréj zdawała się przemawiać silniejsza potęga. Pojawienie się Deotymy osądzono wydarzeniem stanowiącém nową epokę, i zbierano skwapliwie wszystko, co tylko szesnastoletnie dziewczę objawiało o tajemnicach stworzenia i posłannictwie człowieka.

W roku 1852 okazał się pierwszy tom improwizacji Deotymy, ale jeszcze na cztery lata przedtém dawała liczne próby swego rzadkiego talentu. To co wyśpiewała, szło z ust do ust, z serca do serca. Wielu z tych poezyj uczono się na pamięć i powtarzano je przy każdéj stosownéj okoliczności. Poeci, którzy oddawna już byli zamilkli, sam nawet Mickiewicz, pochwycił struny milczącéj liry i zanucił na jéj cześć hymn pochwalny, rozbudzony natchnieniem młodéj dziewicy, która jak drugi Orfeusz zdawała się wskrzeszać ducha nawet w umarłych kamieniach.

W latach 1854 i 5 odbyła Deotyma rozmaite podróże, które wywarły wielki wpływ na jéj duchowe rozwinięcie. Zwiedziła krainę zlewaną wodami Renu, owe malownicze brzegi ubarwione tysiącami legend i baśni; widziała tajemniczą skałę *Lorelej* i przypatrzyła się przepysznemu *Siebenbirgowi* uwieńczonemu *Smoczą Skałą*; ztamtąd zrobiła wycieczkę aż ku morskim nadbrzeżom do Ostendy. Stanęła nad grobem piewcy *Messiady*, i na wyspie Rügen oddała pokłon zabytkom słowiańskiéj potęgi i słowiańskiéj religji, a wszędzie wyrażała wymownie w pięknych improwizacjach co czuła i doznawała, a oprócz tego wrażenia podróży spisywała jeszcze w prześlicznych listach. Napowrót do rodzinnego kraju obrała drogę na Poznań i Kraków, i w obudwóch tych miastach, do których wiąże się tak wiele historycznych wspomnień, została przyjmowaną przez ziomków swoich z prawdziwym zapałem. Gdzie się tylko zjawiała, obrzucano ją wieńcami z wawrzynu i z liści dębowych; jednogłośnie przezwano ją Korynną Polską, a nawet niekiedy Homerem i oddawano cześć wielkiemu talentowi. W Krakowie, téj metropolji polskiéj, tém Mauzoleum swoich Królów, tym kamiennym pomniku wielkiéj przeszłości, zlała gorącemi łzami mogiłę Kościuszki. Stary gród królewski rozłożony u stóp Wawelu, pożegnał ze łzami młodą współziomkę, a jéj oczy także zwilżyły się żalem, gdy go ostatni raz żegnała.

Od kilku lat Deotyma odsunęła się zupełnie od świata, improwizuje już wtedy tylko, gdy genijusz poezji pobudza ją koniecznie do tego, i żyje oddana jedynie pracy. Pisze obecnie wielki narodowy poemat pod tytułem: *Polska w Pieśni*. Jest to ogromne zadanie; to jedno dzieło byłoby już dostateczném do postawienia imienia Deotymy obok nazwisk największych epicznych poetów, jak: Homera, Wirgilego, Tassa, Miltona etc.

Tego wielkiego dzieła, *Polska w Pieśni*, wyszły już dwa tomy. Pierwszy, wydany w roku 1859, zajął *Lech*; drugi tom, wyszły w r. 1860, zawiera: *Wojnę Olbrzymów*, *Wyszymira* i *Dwunastu Wojewodów*. Te cztery utwory nie są jeszcze całą *pierwszą księgą*.

Jest to arcydzieło, w którém witamy zarazem pierwszą polską *epos*. Nie ma wątpliwości, że ta młoda poetka usprawiedliwi wszystkie nadzieje, gdyż w młodym wieku stoi już na takim stopniu potęgi poezji, którą inni osiągają dopiero po wieloletniéj pracy i licznych usiłowaniach.

Na zakończenie, i chcąc ujść oskarżenia o stronność, przytaczam tutaj zdanie pewnego znakomitego krytyka, którego sąd jest równie głęboki i wytrawny, jak wolny od wszelkich stronnych względów. Po krótkiéj rozprawie o współczesnych poetach polskich, wyraża się w następujący sposób o Deotymie:

„Jeżeli nie przyznamy improwizacjom Deotymy owéj wartości, którą im inni powielekroć oddali, to w każdym razie musiemy się zgodzić, że Polacy posiadają w niéj talent liryczny wielkiego znaczenia. Nie są to pospolite uczucia, ozdobnie poskle-

jane razem, lub namiętnościami rozgrzana egzaltacja, z któremi mamy tu do czynienia, ale jest to raczéj spokojny, głęboki umysł, przenikający poetyczne przedmioty, który w blasku świetnéj wyobraźni często w swoim nadziemskim locie gubi się tak dalece w poezji, że go już tylko zdala i że tak powiem *à vol d'oiseau* widziemy; następnie ogólne objęcie wszystkich szczegółów, ich przedstawianie niezależne od pobocznych wpływów, Ale kto tylko bezstronnie sądzi rzeczy, ten razem z nami powtórzy sąd, który wydał o niéj książe poetów, wielki Mickiewicz:

To nie marnéj błyskawicy,
To natchnienia ogień szczery:
Nie skowronka drżące kręgi,
Co tam kwili gdzieś wysoko:
To silny polot orlicy,
Co pewna swojéj potęgi,
W nadchmurne szybuje sfery
Zajrzéć słońcu oko w oko.
To nie pozory zachwytu,
To nie martwa forma bytu:
Tam coś nieziemskiego wieje,
Tam duch zewsząd promienieje.
. . . .
Widzę jak się chwila zbliża,
Gdzie uwieńczy twe natchnienie
Najpiękniejsze przeznaczenie,
Gdzie cię nazwie pokolenie
Deotymą, wieszczką krzyża.

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

—Dnia 7 Lutego przeszło 600 osób zebrało się w sali Pleyela na koncercie młodego fortepianisty z Warszawy, pana Kleczyńskiego. Prawda, że w liczbie téj znajdowało się prawie połowę rodaków; Polaków bowiem tu w Paryżu osiadłych wraz z podróżnymi, przejeżdżającymi przez stolicę Francji, jak również z młodzieżą pobierającą tu nauki, przeszło na dwa tysiące osób obecnie liczą. Względnie do innych koncertów, bardzo znaczna liczba Francuzów, a nawet kilka znakomitości artystycznych słyszéć grę pana Kleczyńskiego pospieszyło. Młody nasz artysta nie może wcale skarżyć się na zawód, jakiego wielu innych jego kolegów, artystów cudzoziemców, o kilka set mil po uznanie ich talentu i sąd Paryżan przyjeżdżających, zwykle tu doznaje. On też ze swéj strony również nie zawiódł położonego w nim zaufania publiczności i wywiązał się z podjętego obowiązku z powszechném zadowoleniem. Dziarski mazur i romans kompozycji pana Kleczyńskiego, przez niego samego odegrane, najwięcéj zajęły polską publiczność. Francuzi bowiem nie mają należytego poczucia naszych rzewnych narodowych kompozycyj. Uroczysty polonez Szopena, odegrany przez pana Kleczyńskiego z wielkiém czuciem i biegłością, wywołał powszechne zadowolenie i wychodzącą z sali publiczność pod urokiem niewypowiedzianie błogiego wrażenia zostawił. Francuzi ze wszech stron uderzyli rzęsiste brawo. Kiedym przy wyjściu spotkał się z jednym z moich znajomych, zaszczytnie znanym w dziennikarstwie francuzkiém panem Henrykiem Ferrier, i zapytał go, co o tym polonezie napisać myśli. On mi odpowiedział: „Mon cher, j'en étais ravi, c'est un véritable cri de l'âme débordée par une orageuse mélancolie, que M. Kleczyński nous a fait entendre du bout de ses doigts.“

W ogólności, koncert pana Kleczyńskiego rozrzewnił i zabawił. Kilku znakomitych artystów zaszczyciło go swą obecnością, a w ich liczbie uważałem znakomitą artystkę Księżnę Marcelinę Czartoryską, pana Moniuszkę z Warszawy i pana Clapisson, ulubionego od Francuzów kompozytora kilku oper komicznych i wielu miłych bardzo śpiewek.

---

* * *

Korrespondenci z Księztwa Poznańskiego do gazet tutejszych, od pewnego czasu troskliwie zajmują się zbieraniem i podawaniem faktów dowodzących szczególnéj dla nas niechęci Niemców. Stara to piosnka, dziś już ani gniewa, ani dziwi, a nawet cieszy poniekąd, bo podobnie zły humor zawsze jest dowodem niestrawności... Wprawdzie wolelibyśmy, jak powiada korrespondencja Gazety Warszawskiéj Nr. 48, zamiast owych przykrości, obelg, dokuczliwości i ukłuć śpilkowych, zadawanych z odwagą godną podziwu, zapisywać czyny wspaniałomyślności, uczciwości i serdeczności współobywateli niemieckich. Prawdą jest także, że kłamstwa, fałsze, potwarze z początku tylko gniewają, a potém przychodzi się do obrzydzenia i wzgardy; jednak sądzę, że tak korrespondenci jak i my sami, w kwestji téj odwiecznéj powinniśmy zupełnie odmienić taktykę postępowania. Udry bowiem, załebki, wzajemne szykany—to tryumf dla złości, przyzwyczajonéj tylko w mętnéj wodzie łowić ryby, i tak do porozumienia się jak i zwycięztwa prawdy nigdy nie doprowadzą. Zaciemniając przytém samą kwestję, w miejsce jéj podsuwają wzajemne dowcipki, przygryzki i śmiesznostki, robiąc je w końcu jedynym przedmiotem sporu i nieporozu-

mienia. I jakaż z tego wszystkiego korzyść? Otóż zdaniem mojém, korrespondenci w artykułach swoich powinni występować z największą godnością i powagą; fałsze zbijać rozumowaniem, do prawdy przyznać się i zachęcić ziomków do poprawy a przeciwnikom złe wytykać, szlachetne podnosić i stawiać za przykład godny naśladowania. Walka bowiem słowna bez téj barwy, godną jest tylko dzieci, a nie ludzi dobijających się uznania; z nią zaś prowadzona, otrząśnięta z namiętności i drobnostek żakowskich, najzawziętszych ułagodzi, wachających się przyciągnie a życzliwych utrwali i umocni.

My zaś robione nam zarzuty odpierajmy czynami; powiadają żeśmy głupi, próżniacy, ciemiężcy ludu, niedbali, wichrzący, nieoględni,—więc z zapałem do nauki, do pracy, do zyskiwania sobie przyjaźni ludu, do porządku, staranności, zadawajmy fałsz podobnym przyganom. Najmędrsze bowiem dowodzenia, najprawdziwsze fakta historyczne za nami świadczące, bez czynów w obecności, są tylko pięknemi nagrobkami przeszłości. Zasada arystokracji, podnoszenia własnéj godności tylko zacnością przodków, jeżeli jest śmieszną w ludziach, w społeczeństwie staje się poniżającém szyderstwem. Karli duch po olbrzymach ojcach, może obudzić litość, ale nigdy współczucie i poszanowanie; litość zaś dostateczną jest tylko dla niedołęgów i szpitalnych dziadów. Człowiek, co się nie umié otrząsnąć sam o własnéj sile, pomimo zawad i przeszkód, z wad swych i niedostatków moralnych, niegodnym jest być człowiekiem... społeczeństwo społeczeństwem.

Oto jest droga jedyna, co nas doprowadzi do pożądanych rezultatów: więc precz! z szyderstwem i żakowskiemi figielkami; precz! z kłamstwem i pochlebstwem, czy nam czy nie nam głoszonemi; precz! z obłudą, a ślub, wieczny ślub z prawdą, z godnością, umiarkowaniem i ciągłą na siebie bacznością. Janek z Bielca, co go p. J. M. nazwał dzwonem oświaty ludowéj, dosyć jest szczęśliwy w swoich pomysłach i namowach. Trajkotał aż do znudzenia o ludzie, szkółkach i obojętności gazet, aż w końcu wytrajkotał baczność na tę najważniejszą i najpierwszą kwestję pomiędzy wszystkiemi kwestjami. Może więc Bóg da, że i dzisiejsze jego słowa nie padną na opokę, i zwróciwszy na siebie uwagę ogółu i panów korrespondentów, dozwolą im rozkwitnąć czynem, tym pierwszym zasiewem braterstwa i ewangelicznéj miłości. Że zaś przedstawiłem wam nie poetyczne mrzonki, ale rady praktyczne, najlepiéj świadczy szlachetne wystąpienie Gazety Wrocławskiéj we wrzaskach i krzykach na p. Niegolewskiego. Za pierwszym bowiem głosem tego pisma przeciw osobistości p. Niegolewskiego, *całe* dziennikarstwo pruskie ozwało się chórem, przesadzając się w dowcipie i złośliwości. Nawet pisma humorystyczne chwyciły się skwapliwie tak pożądanéj dla siebie strawy, i gdy nicowano ją i obrabiano aż do ckliwości, naraz jeden wystąpiła Gazeta Wrocławska z oświadczeniem, że wszystko co było powiedzianém o p. Niegolewskim, jest kłamstwem, i że autorem owych pierwszych zmyśleń był niejaki p. Bernhardt, nauczyciel z Leszna.

Co właściwym było powodem tego publicznego przyznania się do błędu, w to nie wchodzimy, dość że błąd uznany został i tém samém całe dziennikarstwo okryło się wstydem i śmiesznością. A czy podobne wypadki nie osłabiają znaczenia literatury perjodycznéj? czy na drugi raz nie zrobią ją oględniejszą i rozważniejszą? Idźmy więc daléj tą drogą; pióro dziennikarzy niemieckich nie mając z nas *vis à vis* w szermierkach dowcipkowych, pomału wybryka się i uspokoi, a zszedłszy na drogę porządnéj rozprawy z prawdą i godnością prowadzonéj, nie raz, ale tysiąc razy publicznie rzeknie: zgrzeszyłem.

Artykuł ten, odwołujący potwarz rzuconą na p. Niegolewskiego w Gazecie Wrocławskiéj, brzmi jak następuje:

„Cześć prawdzie! W numerze 42 naszego pisma, na mocy, jak się teraz przekonywamy, fałszywego doniesienia, zamieściliśmy artykuł pod tytułem: *Polskie gospodarstwo polsko-policyjne w Morawnicy*. Artykuł ten doszedł nas z podpisem nauczyciela Bernhardta z Leszna, dziś wypierającego się autorstwa, chociaż dowiedziono najoczywiściéj, że wiadomość tę udzielono nam pod maską szczególnego rozmiłowania w historyczno-cywilizacyjném posłannictwie Niemców. Dlatego nie wątpimy, że artykuł ów miał tylko na celu oczernienie kłamstwami posła Niegolewskiego wraz z jego małżonką; wypierając się przeto wszelkiego w nim współudziału, wzywamy wszystkie Redakcje, które z naszéj gazety czerpały, aby oświadczenie niniejsze w swych kolumnach powtórzyły.

Mimo tego, żądanego powtórzenia w innych pismach nie dopełniono.

Może cokolwiek zadługo o Niemcach się rozpisałem, ale sprawa to ważna, a wygadawszy się nie prędko do niéj powrócę. Pragnąc zaś poważnie zaczęte sprawozdanie równie zakończyć poważnie, donoszę Wam, że składki na Towarzystwo Dobroczynności, poruszone dzielném słowem Redaktora Gazety Warszawskiéj, nadpływają coraz częściéj i coraz w większych kwotach; pamięci zaś serc Waszych polecam odezwę Przełożonéj Marjawitek w Częstochowie, którą tu poniżéj zamieszczamy.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!
A Imię Panny Marja!

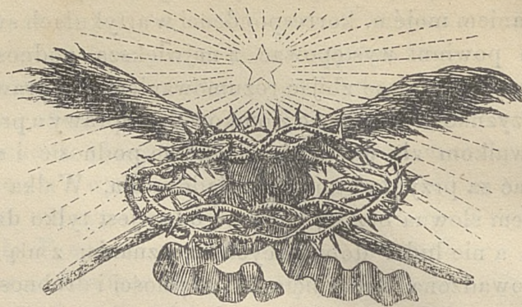
Ponieważ do wykończenia budującéj się Świątyni na Cześć Najsłodszego Serca Marji, i zabudowań klasztornych, potrzebuję jeszcze około sto tysięcy złotych polskich, i z tego powodu często bardzo smutne napastują mnie myśli z gorzkiemi wyrzutami: „zawielkie zaczęłaś dzieło, niepotrafisz skończyć!“ i nieraz już, już upadająca na duchu, pokrzepiam się ufnością w opatrzności Boga, która nikogo nie omyli; i w téj ufności, w Imię Boga i Matki Jego Najświętszéj, na tém miejscu cudami słynącéj, odzywam się do wspaniałych serc Waszych kochani Bracia i Siostry w Chrystusie, błagając rzewnemi łzami, nie odmawiajcie mi do końca pomocy Waszéj ku powiększeniu czci i chwały Pana Boga. Miłośnicy i miłośnice najmiłosierniejszego Serca Marji, chrześcijanie katolicy i wszyscy, którzy tę nieudolną prośbę czytać będziecie, niech się żaden między Wami nie znajdzie, któryby nie miał udziału w téj budującéj się Świątyni. Nie zrażajcie się kochani Bracia i Siostry na pozor tak wielką summą, bo Bóg ma więcéj jak rozdał; ale pomnijcie na to, że Wam stokroć oddane będzie: za ten kapitał tu wyłożony ogromny procent weźmiecie, bo samego Boga macie dłużnikiem;— niech tylko każdy uczyni co może: którzy już dali niech raczą powtórzyć, a którzy jeszcze tego nie uczynili, teraz mają sposobność—a tym sposobem summa potrzebna bardzo prędko się zbierze i przy pomocy Pana Boga budowa w tym roku się skończy, i poświęcenie kościoła i przeprowadzenie zgromadzenia wraz z całym zakładem sierot nastąpi. Jeszcze raz w Imię Boga błagam Was! dopomóżcie mi wykończyć to zaczęte dzieło; a za to wiecznemi czasy, w każdą pierwszą Środę miesiąca, Msza święta za wszystkich Ofiarodawców odprawiać się będzie.

w Imieniu całego Zgromadzenia
Sługa Sług Marji
Paulina Jellec Przełożona.

SZARADA.

Pierwsze czwarte, nieodbite
Były w stroju Polonusa:
Wielkich panów były lite,
A skórzane u wiarusa.
Drugie zgłoską lecz zmiękczoną,
Zaraz po *o* położoną.
Trzeciéj czwartéj, wielki Boże!
Byśmy na tym świecie żyli,
Byśmy tu Ciebie chwalili,
Zsyłaj nam w właściwéj porze.
Wszystko żyje w dymu swędzie,
Jest w użyciu prawie wszędzie.

(Znaczenie przeszłéj Szarady:—**Stoliczek**).



Z początkiem Marca zima wyraźnie ustępować zaczyna, czas będzie niedługo zrzucić futra i pomyśléć o lżejszém ubraniu. W magazynie pana Szlenkera widzieliśmy bardzo wiele paletotów, burnusów i wszelkiego rodzaju okrywek, o których powiemy tu szczegółowo.

Teraźniejsze płaszczyki mało się różnią od zeszłorocznych. Noszą zarówno paletoty, jak burnusy i beduiny; w ogólności okładają je aksamitem lub materją pikowaną, zwaną *Matelassée*, najskromniejsze obejmują po prostu pliską jedwabną.

Uważaliśmy między innemi bardzo dobre płaszczyki dla panienek, w kształcie szerokiego paletota, z lekkiéj syberyny zwanéj *velours*, koloru ciemno-stalowego. Rękawy u nich średniéj szerokości, objęte pliską jedwabną czarną; cena ich złp. 90. Są także burnusy z tegoż samego materjału, z szerokiemi rękawami, objęte wkoło wypustką, z kołnierzykiem jedwabnym pikowym, po złp. 100.

Burnusy podobne do poprzednich, ale w nierównie lepszym gatunku, zapinane do dołu na guziki, z szerokiemi klapami zamiast rękawów, naszyte brzegiem materją pikowaną, kosztują po złp. 173.

Odznaczał się pomiędzy temi płaszczyk obłożony pikowaną pliską na dwa palce, z szerokiemi klapami zamiast rękawów- Na wierzch szła pelerynka z tyłu dochodząca do stanu, zwężona na ramionach, z przodu z końcami w zęby. Peleryna ta objęta materją pikowaną, przytwierdzona była do płaszczyka.

Do najmodniejszych należą burnusy zwane *Odaliskami*, bardzo szerokie, które można podnosić z boku na ręce. Taki burnus czarny, z sukienka zwanego *Péruvienne*, fałdowany był z tyłu na dwa głębokie fałdy, przytwierdzone w stanie kwastami; z boków szamerowany w drabinkę, z przodu zapięty na guziki. Cena jego złp. 200.

Inny znów burnus także z sukienka *Peruvienne*, w kształcie arabskim, miał z tyłu długi spadający kaptur, podbity czarną materją, ozdobiony pięcioma kwastami; z boków rozcięty był jak mantyla, a tylne bryty zachodzące na przednie, tworzyły jakby klapy od rękawów. Wkoło szła pliska je-

dwabna przystębnowana, z przodu dwa rzędy czarnych jedwabnych guzików. Cena jego złp. 240.

Widzieliśmy w tymże magazynie znaczny zapas ładnych koszulek Garybaldek z czarnego tybetu, naszywanych z przodu sutaszem i stalowemi perełkami w bogaty deseń. Kołnierzyk wykładany, podobnież był wyszywany, równie jak paski na ramionach, i mankiety, przez które ręka przechodzić mogła wolno. Koszulka taka kosztuje złp. 46. Są także inne, wyszywane sutaszem i perełkami z lawy.

Podobały nam się téż bardzo kaftaniczki obejmowane pluszem wełnianym czarnym w białe wypukłe kwadraciki. Kształt ich podobny do zwyczajnych zuawek, rękawy szerokie otwarte, okładane pluszem, równie jak kieszonki po bokach. Cena ich złp. 90.

W magazynie pani Sobolewskiéj widzieliśmy mnóstwo prześlicznych ubiorków na głowę i czepeczków, zastosowanych do każdego wieku i na rozmaite ceny.

Dla młodych panienek były zgrabne czółka z klarownéj czarnéj petynety, objęte wkoło czarnym aksamitnym rulonikiem, naszyte z wierzchu dosyć grubym sznurem stalowym w zęby. Z tyłu spadały długie końce czarne do wiązania. Cena tych czółek złp. 24.

Były także gładkie czółka aksamitne czarne, przepięte z przodu trzema okrągłemi broszami z lawy, z tyłu wiązane na wstążkę mantynową.

Dla młodéj mężatki odznaczał się ubiorek z czarnéj koronki w kształcie wieńca, przepinany pukielkami ze stalowéj torsadki, z boku przystrojony kitką czarną, z tyłu kokardą z końcami. Cena jego złp. 42.

Z czepeczków zwróciła uwagę naszą bardzo ładna chłopka illuzjowa biała, ogarnirowana wkoło suto illuzją, opasana wstążką białą w czarny rzucik; nad czołem szła szeroka rozeta ułożona z aksamitki czarnéj z białym brzeżkiem. W podłuż denka przechodziła trzy razy wstążka biała na palec, objęta z obu stron koroneczką czarną. Z tyłu spadała kokarda z końcami z białéj szerokiéj wstążki w czarny rzucik. Cena jego złp. 30.

Inna chłopka czarna z tiulu jedwabnego w rzucik, ogarnirowana była ruszką illuzjową; nad czołem szła szczotka tworząca djadem z przefałdowanéj przez środek wstążki; daléj ku tyłowi wstążka ta otaczała gładko czepeczek, a z tyłu kończyła się kokardą; oprócz tego z pod szczotki spadała na denko długa kokarda z wązkiéj wstążeczki z końcami. Ładny ten czepeczek kosztował złp. 28.

Najstrojniejszy z owych ubiorków składał się z wałka białego illuzjowego, okręcanego czarnym aksamitem; krótkie pióra strusie czarne i białe naprzemiany, otaczały go wkoło.

Inny ubiorek w tym rodzaju w kształcie turbanika skręconego z wstążki czarnéj i aksamitu, przybrany był z lewego boku dwoma czarnemi strusiemi piórami.

Nowości Zagraniczne.

Petit courier des dames.—Ostatni numer tego tygodnika daje ładny wzór sukni *Gabrjeli*, zapiętéj z przodu na rzęd guzików, u dołu obszytéj dwoma fałdowanemi falbankami szerokości trzech palców, w małém od siebie odstępie. Rękawy wązkie, tak żeby ręka wolno przeszła, spięte są na sześć guzików, przybrane odwiniętym mankietem, ogarnirowanym falbanką. Mankiet ten wygląda jakby zwierzchni rękaw, z pod którego drugi wychodzi. Suknia z tyłu znacznie przedłużona, powłóczy się po ziemi. Druga suknia, także *Gabrjela*, zamiast falbanek miała u dołu w niejakim odstępie plisę aksamitną, szeroką na ćwierć łokcia. Kołnierzyk aksamitny, takież klapki i wyłożenie u mankietów dopełniały ozdoby. Guziki są téż aksamitne.

Magasin des dames et des demoiselles.—Kolor czarny i biały trzymają pierwszeństwo nad innemi z mieszaniną barwy stalowéj. Na strojne suknie używana jest materja *Pompadour* w mały desenik, mora starożytna, brokatela i aksamit; do częstego użycia najwięcéj noszony jest ryps i popelina. Suknie robią się krojem *Gabrjeli*, do paska albo z bawetem, jeżeli są wycięte. Staniki po największéj części gładkie, są pod szyję zapięte albo wpółotwarte z klapkami; do garnirunku służą małe falbanki, rusze, aksamitki, gipiura i szmuklerskie wyroby. Ładną widzieliśmy suknię z czarnéj materji z wyszytym deseniem *à la grecque*. Stanik gładki i wpół otwarte rękawy odpowiednio były ubrane.

Kolor czarny i biały zaniedbany przez niejaki czas, nanowo wchodzi w największe użycie; widziemy suknie białe tarlatanowe i muszlinowe, przybrane wstawkami i gipiurą czarną; berta zwykle odpowiadający ma garnirunek. Co się tyczy ubiorków na głowę, robią je rozmaite: złożone z piór i aksamitu, z barb koronkowych spadających na ramiona i kwiatów, oraz w kształcie toczków i beretów. Bardzo młode panienki używają białych perełek, korali albo tylko grzebień z ławeczką złotą lub z lawy. Uważaliśmy rękawki białe w ten sposób zrobione, że wszyte były koło ręki w pasek szeroki na pół ćwierci łokcia, do paska tego dodany był mankiet mały sięgający do połowy paska. Tak mankiet jak i pasek haftowany miały

desenik przy brzegach. Bardzo też wiele rękawków tiulowych, tarlatanowych i z organtyny, składa się z samych bufek przegrodzonych wstawkami; niektóre bufki dają wzdłuż ręki w formie melona. Krawatki białe muszlinowe, haftowane w rogach, albo obszyte wstawką i koronką, coraz więcéj zaczynają się upowszechniać. Ze wszystkich paziów i przyrządów do podtrzymywania sukien na błoto, dotychczas okazały się najpraktyczniejsze paski elastyczne; można je w domu upasować, wziąwszy 5 ćwierci taśmy elastycznéj na palec szerokiéj, dodając z jednéj strony pętelkę, a z drugiéj duży guzik rogowy.

La France élegante.—Noszą bardzo suknie jedwabne czarne lub popielate, obszyte kilka razy czarną aksamitką; u samego dołu aksamitka bywa najszersza, daléj zwęża się w miarę jak idzie w górę; każdy rzęd objęty z obu stron wązką koronką czarną. Stanik bywa podwójny: jeden wycięty z bawetem, do koronkowego kanzucika; drugi pod szyję, przybrany aksamitnym kołnierzykiem i takiemiż klapkami. Rękawy płaskie ścięte od łokcia, mają wyłożenie muszkieterskie, przybrane guzikami i aksamitką.

Na rano podobają się powszechnie szlafroki szerokie otwarte, w kształcie długiego paletota. Widzieliśmy taki czarny kaszmirowy, wcięty cokolwiek w stanie ale nieprzystający do figury i nieprzewiązany wcale sznurem. Przody od góry do dołu przybrane były szerokiém wyłożeniem z czarnego fularu, pikowaném w maszynie białą nitką jedwabną. Wyłożenie to szerokie u dołu, zwężone w pasie, rozszerzało się znów na ramionach, a z tyłu tworzyło okrągły kołnierz. Rękawy szerokie, zwyczajne pagody, objęte były pikowanym mankietem. Spódniczka do tego półbatystowa biała, miała u dołu trzy rurkowane falbanki; nad każdą z nich szła haftowana wszywka. Czepeczek okrągły muszlinowy w kształcie chłopki, obszyty ruszą, miał nad czołem wielką czarną aksamitną kokardę.

Zwróciła też uwagę naszą suknia *poult de soie* czarna; spódnicę u dołu zdobiła plisa aksamitna wycinana w płaskie festony, objęta z obu stron wązką falbaneczką jedwabną; stanik wysoki miał podwójny rozchodzący się bawet nakształt kamizeleczki. Rękawy szerokie, otwarte, fałdowane u ramienia, przybrane były podobnie jak spódnica, ale cokolwiek węższéj. Garnirunek sukni składał się z dwóch pasków wężykowatych, umieszczonych nad sobą.

Le bon ton.— Słyszeliśmy, że z wiosną mają się pojawić suknie bareżowe, garnirowane w nowy sposób. Spódnica ma być krajana blizko o łokieć dłuższa niż potrzeba, a potém w pewnych odstępach przymarszczana u dołu. Tym sposobem tworzyć się będą festony, przepinane węzłem szmuklerskim. Rękawy do takich sukien mają być półotwarte, przemarszczane także w podłuż i przepięte na zszyciu odpowiednim węzłem.

Opis ryciny.

Fig. 1. Czepek z tiulu jedwabnego. Garnirowanie ułożone jest w ślimak.

Fig. 2. Czepek z blondyny naszyty aksamitkami. Z boków dają się różyczki z aksamitki czarnéj.

Fig. 3. Czepek złożony z jedwabnéj chusteczki i tiulu.

Fig. 4. Czepek ubierany barbką i białą wstążką w czarny rzucik.

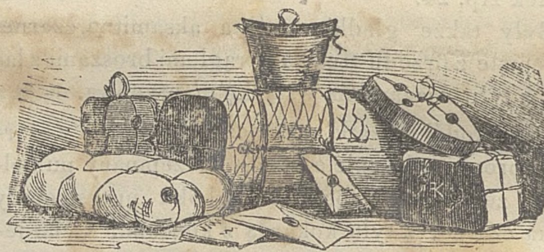
Fig. 5. Paltot wcinany z syberyny czarnéj, okładany czarną przystębnowaną materją. Paltoty tym fasonem robią się dla osób dorosłych i dzieci.

Fig. 6. Czepek ubierany lila wstążkami.

Fig. 7. Rękawek muszlinowy, marszczony wzdłuż ręki i garnirowany wstążką. Bufki naszywają się na gładkim kawałku.

Fig. 8. Czepek muszlinowy, podwleczony wodą i obszyty falbanką haftowaną.

Fig. 9. Rękawek muszlinowy, z mankietem stojącym karbowanym.



Pani Wa. Kwiat...—Czółko nosi się w pokoju, bywają one gładkie aksamitne wyszyte perełkami, albo plecione z ruloników aksamitnych, zakończone z tyłu kokardą z końcami; cena ich od 24 do 33 złp. Chustki kaszmirowe okładają się w około materją na ćwierć łokcia szeroką, obszywają wązką frendzlą kordonkową na dwa palce szeroką i torsadką z perełkami. Chustka taka, stosownie do gatunku kaszmiru i materji kosztuje od 100 do 120 złp. Fular na suknie używany jest tylko w rzucik biały.— —Pannom Bro. i Wan.—Album ozdobne do fotografji kosztuje od 20 do 66 złp.— —Pani Do. w Bau...—Plecionki złote u białego burna zastąpić można czarną aksamitką. Sprawunki wyślemy jak najspieszniéj.— —Pani Hłas. w Zam...— Pani Nata. Kor...—Pani Anie. Wiel...—Panu Ale. Jało...—Pani Zo. Korbu...—Pani Krysty. Kar...—Pani Józe. Soko...—Panu Igna. Fuda...—Sprawunki wysłane zostały.— —Pani E. Mogil...—Pieniądze za dawniejsze sprawunki odebraliśmy, nowo żądane odeszły pocztą.— —Pani Karo... Lemań...—Łańcuszek do zegarka nierównie trwalszy z bawolego rogu, jak z lawy. Miarę długości spódnicy trzeba brać z boku. Ze wszystkich wyrobów wełnianych kamlot w dobrym gatunku najlepiéj się nosi.

Sprostowanie. — W przeszłym numerze, w artykule *Korynna Polska*, na str. 1, w szpalcie 1, wierszu przedostatnim, zamiast: w Anglji, wydrukowano *w Austrji.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się wzór ubiorków damskich.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



385.

Imp. Mariton.

MAGAZYN MÓD

w Warszawie.

nro: 10 r: 862

Dodatek do Nru 10 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 8 Marca 1862 roku. *24 Lutego.*

PODMOWY TOWARZYSZA KOSTKI

OBRAZEK HISTORYCZNY
Z CZASÓW JANA KAZIMIERZA Z ROKU 1651.

SKREŚLONY PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza.

(Dalszy ciąg).

— Panowie bracia! — odezwał się znowu Zarzecki, prosząc o uspokojenie, — przeciw słowom, co tu wymierzono do mnie z konfuzją wielką, jak do głowy tureckiéj, nie mam co powiedzieć, bo i ja panowie bracia katolik. Ale równie swoje powiem, jedno, że jest nierozum dawać na to skrypt, czego nie można spełnić, jak to było w praktyce pod Zborowem; drugie, że i Kozaczyzna, to także część Rzeczypospolitéj....

— Ale jak włosy i pazury u człeka, które trzeba obcinać, — odezwał się ten sam, co o stryczku rzecz wyprowadził, a szlachta hucznym zawrzała śmiechem, podniosła potém gwar ogólnéj rozmowy i zaczęła szemrać między sobą:

— Ten cześnik Zarzecki poczciwa to i zacna dusza, ale znać co ród swój z innych stron wywodzi, nie z naszych, bo zawsze w rozmowie słowa stosuje przeciw nam, nie za nami.

— To on nie tutejszy rodzic?

— Nie, z Mazurów wychodzi.

— Z Mazurów? — odrzekł z największém zadziwieniem pytający, — a i zkąd jemu taka śmiałość kurzyć nam ciągle pod nos jakiemiś naukami i morałami? Przecieć przypowieść stara uczy, że Mazury ślepo się rodzą, to zkądże mu więcéj od nas widzieć?

— Bo Mazury to wielkie mądrale, i wszędy radziby głowę nosić górą.

— Znamy my ich, znamy, — odezwało się kilka głosów, a jeden z mówiących, szlachcic zamaszysty i buńczuczny, pokręcając wąsa rzekł:

— Panie bracie, dajcie temu pokój, bo przyjdzie z tego do jakiéj okazji, a dom pana Olszanowskiego wart aprensji i poszanowania.

— No, to mu choć pod nosem brzdąknę jakie słowo o Mazurach, bo inaczéj nie zduszę w sobie tego, co mi się na język wydziera z pomyślenia.

I mówiący zarzuciwszy wyloty kontusza, jedną ręką pokręcił wąsa, drugą poruszył karabelę, i przechodząc około cześnika, mruknął dosyć głośno:

Mazury ślepaki,
Niezdarne jak raki.

Szlachta zachychotała skrycie, a zaczepnik uszedłszy parę kroków, zwrócił się znowu i już przechodząc bliżéj około pana cześnika, szepnął głośniéj:

Pewno jedzie Mazur,
Bo psy we wsi hur—hur!

Pan Zarzecki poznał zaczepkę, szarpnął za wąs i cały pokraśniał; szlachta w śmiech, a zaczepiający zwrócił się ku cześnikowi i zapytał:

— Czy pan cześnik z jakim morałem do mnie wystrzeli?

Zarzecki spojrzał na mówiącego pochmurnie, ale w téj chwili uspokoił się, rumieniec gniewu zastąpił wyraz szczególnéj dobroci i biorąc zaczepnika za rękę, odrzekł mu z największą łagodnością:

— Nie z morałem, panie Jacenty bracie i sąsiedzie, tylko z poprawką, bo psy we wsi nie wołają: *hur—hur!* tylko *ham—ham!*

— A niechże cię ukrólują panie sąsiedzie!—odrzekł na to pan Jacenty, zanosząc się prawie od śmiechu, i objąwszy w uścisk serdeczny pana cześnika, zaczął go całować i przepraszać, a za nim rzuciła się reszta szlachty z równemi oznakami szacunku i poważania, i podniósłszy kielichy w górę, poczęła śpiewać:

Siedziały gołębie
Na wysokim dębie,
I skubały mech!
Kto nie kocha Cześnika,
A bodajże zdech!

— Tak, tak, bodaj zdech! — zawołano z różnych stron, bo pana cześnika, choć kto nie chce, to musi kochać, — wiwat! niech żyje!

I kielichy spełniono duszkiem, a zaczepka, co mogła wywołać wielką burzę, powolnością i rozu-

mem cześnika przemieniła się w najserdeczniejszą zgodę. Szlachta bowiem nasza była zawsze i jest bundziuczną i hardą na wszelki głos oprysklwéj zarozumiałości; słowa jednak serca albo mocy nad namiętnością, przyjmuje z powolnością i szacunkiem, i nigdy ich nie odrzuca ze wzgardą i lekceważeniem. Bywają wprawdzie czasami przeciwne wypadki, ale to są wyjątki, a my mówimy o ogóle, nie o wyjątkach, z których zwykle sądzono całą naszą przeszłość, nie upatrując nic w niéj więcéj, tylko burdy, pijatykę i niezgodę. Gdyby zaś wady te stanowiły jedyną barwę naszéj moralnéj strony, to przez czas pozmienialibyśmy się w szatanów depczących i ludzkie i boskie prawa, gdy inaczéj się stało, widać że ta poniewierana tak przeszłość miała i piękną stronę.

Zabawa podsycana winem, rozmową i żartami, coraz stawała się gwarniejszą i weselszą; wymyślano coraz nowsze śpiewki i przeróżne wiwaty, i kiedy zebrani goście rozpoczęli chórem śpiew:

A bodajto w takim domu
Słodkie pędzić chwile,
Co się można dobrze najeść
I ubawić mile.

samego gospodarza, pana Olszanowskiego, pachołek pociągnął za połę od kontusza, coś mu szepnął na ucho i potém razem obadwa wyszli do sieni.

6.

BUDA KRUDOWNIKA.

Zdala od dworu, w którym zabawiała się szlachta, zawsze jednak na gruncie pana Olszanowskiego, pod lasem na świeżym karczunku, stało kilka bud skleconych z różnych rupieci drewnianych, poczerniałych desek, dyli, a nawet wiór z obrabianego drzewa, gałęzi i patyków. Budy te zdala bardzo przypominały pomieszkania bobrów, albo kopce na dołach ziemiaczanych; dopiero bliżéj do nich doszedłszy, można było dostrzedz niby coś jak okienko i drzwi wchodowe zczerniałe od dymu, co już jasno wskazywało, że budy te, parne w lecie a mroźne w zimie, są zamieszkałe przez ludzi tak zwanych karczowników, którzy na pewną ilość lat obejmującjaki nieużytek w posiadanie, aby go zamienić w żyzną i pożyteczną rolę, naprędce je pobudowali, jedynie w celu zasłonięcia się od najgwałtowniejszych zmian pór roku i powietrza. To téż zdawało się, że lada burza budy te rozrzuci bez śladu, że z pierwszą lepszą ulewą spłyną w nizinę; i choć w jéj środku wiatr bujał swobodnie, poruszając płomieniem ogniska; choć w lecie deszcz przeciekał tworząc kałużę, a w zimie śnieg sypał się tysiącznemi szparami, jednak budy te zamieszkiwali ludzie, a nowe pokolenia rodziły się w nich i wychowywały dla przyszłéj pracy i obrony kraju.

Téj nędznéj powierzchowności odpowiadało wewnętrzne urządzenie owych jam mieszkalnych, więcéj jak łokieć wpuszczonych w ziemię, z których wydobyta glina z piaskiem obsypując cały budynek także przynajmniéj na łokieć wysokości, nadawała mu tę dziwną moc w opieraniu się wichrowym szturmom. W środku bowiem każdéj z tych bud znajdowało się tylko ognisko z kamieni ułożone, kilka garnków, konewka, cebrzyk, beczka, skrzynka i łoże urządzone na kołkach wkopanych w ziemię i służące za wspólne miejsce spoczynku dla całéj rodziny. W lecie łoże to zwykle bywało niewiele cenione, w zimie za to skupiało wszystkich co żyli w chałupie, a dzieci to ich prawie zupełnie nie opuszczali, często choć pod pierzyną drżąc z przerażającego zimna.

Otóż w jednéj z takich bud, tego samego wieczora, kiedy się szlachta tak zabawiała u pana Olszanowskiego, na małych kawałkach drzewa siedział znajomy nam mówca Tomasz i milczący Wasiak, i oba podparci na rękach poglądali w ognisko, przy którym gotowały się w garnczku ziemniaki, na wieczerzę dla dwojga siedzących w łóżku dziatek i dla matki i ich ojca.

Rodzinę tę składał zięć i córka Wasiaka, a choć oboje młodemi jeszcze byli, wyglądali jednak, jeżeli nie na starych, to na zniszczonych albo chorobą albo pracą i niewygodą, tak mało w nich było życia i owego zabiegu gospodarczego, co to z ziarnka chciałby dwa zrobić a minutę w godzinę zamienić.

Na dworze kiedy niekiedy z szumem i dalekim rykiem przebiegał wicher. Za każdym nowym szturmem trzęsły się ściany budy, rozdymał płomień na ognisku, iskry z dymem i trzaskiem wybiegały w górę, a poblizki las jęczał szumem, jakby z boleści nad przyszłém spodziewaném zniszczeniem.

— Będzie pewnikiem jakaś burza,—szepnął kręcący się po izbie gospodarz Stach Mysiak a zięć Wasiaka, i po chwili dodał potrząsając ręką i głową: — niech ta! jak nawywraca drzew w lesie, to łacniéj będzie z opałem w zimie.

I powiedziawszy to rozśmiał się bezmyślnie, a Wasiak westchnął i spojrzał na Tomasza.

— Tak rok, — odezwała się Stachowa, — wicher przewrócił stodoły we dworze, toświa z nawałów wielkiéj obrady nie mieli, ino z wiórów i gałęzi, bo wszystko het! zabrali cieśle. To téż o opał

strasznie było skąpo, a mego to hady! do lasu wydźgać nie mogłam.

— Ej! — mruknął Stach, — zimnisko było, a kożuch stary checiak....

— Ale za to z wiosny, — z uśmiechem radości mówiła daléj Stachowa nie zważając na zrobioną przerwę, — jak w stawie dworskim groblę i upust zerwało, to tyla ryb we wszystkie rowy nalazło, że brało się prawie z wody rękoma i jadło, jadło, że się nigdy głodu nie czuło. Oj! — mówiła daléj smutnie westchnąwszy, — nieprędko człek będzie na takich godach, teraz we dworze zmądrzeli i ufundowali groblę, co jéj choć największa woda a nie poradzi.

Wasiak znowu spojrzał na Tomasza i po chwili powstając rzekł:

— Wicher szaleje, gwiazdki jednak jeszcze migoczą i swarzą się z wichrem, co im chmury nagania. Dziki zwierz cieszy się z tego, a człek smuci, bo zwierz głupi, a człek ma zastanowienie; — i zwracając się ku Tomaszowi zapytał:

— Tomaszu! z tym... napewniaka wszystko poszykowane?

— Napewniaka! — odrzekł Tomasz, — Wroniak go do nas doprowadzi, a Kolasa pójdzie tam kaj wypada.

— Oj! Tomku, — smętnie odezwał się Wasiak, —jakieś mory przechodzą mi po skórze, nikej kiedy śmierć zagląda w oczy. Już się sześć dziesiątków biedowało na ziemi, to i czas kościom zaznać spoczynku. Tomaszu! wieczność mnie nie smuci ino raduje, ale jak ja zamknę oczy i ze mną to co mam w pomyśleniu, to co stanie się z tym drobiazgiem? — wskazując na wnuków siedzących w łóżku i na córkę z zięciem, — kto na każdym razie rozporządzi niemi? W lesie, w robocie zdziczało to, w brzuchu całe pomyślenie, a choć w głowie siedzą oczy, ale nie widzą, uszy nie słyszą. O! moje biedactwo, o moje robaki kochane...

I przy tych słowach rozczulony starzec obejmował koleją zięcia i córkę, i tuląc głowy ich do piersi, całował z całém uczuciem rodzicielskiéj miłości.

— Ej! tatusiu, — wyrywając się z objęć teścia mruknął Stanisław, — nie dokazujcie cudeńków, żeby ta jaki głupi, toby myślał coście się opili.

Wasiakowi w téj chwili opadły ręce, spojrzał ponuro na własne dziatki i kuląc ramiona odezwał się do Tomasza głosem urywanym, wodząc przytém oczami dokoła, jakby patrzył na to co mówił:

— Tomaszu! słyszycie wicher.... ale szumu jego nie możecie miarkować.... znacie czytanie, a równie książki co niesie przeczytać nie umiecie.... ale ja miarkuję wicher i czytam z niego jak z książki.... Słuchajcie! padają dęby.... ludzie krzyczą *gore!...* a cała ziemia stała się jak dzwon jeden.... ludzie zbiegli się do dzwonienia... dzwon w cichości ino stęka... a oni....

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Stach, a za nim poszła żona i dzieci, — czy wam się przekręciło w głowie, czy co? Szaleją ta i szaleją, że aż dziwno słuchać. Mój tatusiu, miéjcie téż rozum.

— A oni... — dodał Wasiak z goryczą, wskazując na zięcia, córkę i wnuczki, — śmieją się z tego i wykpiwają;—i zakrywszy twarz rękoma, usiadł na przeznaczonym dla siebie pieńku.

— Wasiaku! nie frasujcie się popróżnicy,—odezwał się Tomasz,—Bóg zaczyna wstępować w serca ludzi, to i waszym dziadkom i wnukom opiekuństwa nie braknie....

— Tomaszu! — przerwał Wasiak, — mój nieboszczyk rodzic z rozumu sławę mieli na całą okolicę. Ja ze swoim rozumem to się do rodzica nie umywałem. Moje dzieci daleko są za mną, a wnukowie i prawnukowie, to nawet nie pomiarkują co rozum znaczy. O opiekuństwie więc nie wywodźcie gadki.

Zięć z córką skulili ramiona, dwoje sześcioletnich dzieci siedzących w łóżku rozśmiało się na całe gardło. Wroniak z boleścią przerzucił oczami po izbie, a Stach Mysiak rzekł:

— Mój tatusiu, co się z wami dzieje? Idzie wam o opiekuństwo nad nami? a cóż to, czy my maluśkie dzieci? karczunku nie braknie, to i chleb zawdy będzie, a jak się zakotłuje w świecie, to oni wezmą się za łby, a my trochę spoczniewa. Rozumu co prawda na zbyciu nie mawa, ale wystuderować co dla żywota i zelgi w robocie, to umiewa jak wypada. Z pańszczyzny ni razu jeszcze nie wróciłem z gołemi rękoma, mało wiela zawdy się do domu cosić przyniesie, a w robociznie to i stary lepiéj nie poradzi, i choćby mi na rękach siedzieli, zawdy se zelgę wypenetruję. Więc o co wam idzie?

— Ej! — mruknęła córka Wasiaka, — bają ta i bają, jakby się im co w głowie popsuło i wywodzą niestworzone rzeczy, że aż się maluśkie dzieci wyśmiewają.

— Cicho! młokosy, — z fukiem przerwał Tomasz, — rodzic wasz dobrze mówią, bo ich lepsze pomyślenie przez sen, jak wasze na jawie....

— Nie pochlibiajcie mój Tomaszu, — przerwała Stachowa, — bo wy straszny pochlibnik. Trzymacie z dworem i tatusia na swoje przerobiliście, i wodzicie ich za sobą jak cielę nie przymierzając. Dawniéj w rozumie nikt im nie dorównał, ale teraz... Panie odpuść....

Wasiak, co z głową opartą na rękach siedział

na pniaku w zamyśleniu, zaczął szeptać, patrząc w ziemię, jakby do siebie samego:

— Koń ciągnął pod górę, a chłop go podcinał i co trocha to mu przyczyniał ciężaru. Koń ustał, a chłop się zafrasował. Koń aże piszczy z głodu, a chłop przeklina; koń co się zerwie, to stęknie i przewróci się, a chłop okłada boki że aż żebra chroboczą; i został koń jak nieżywy, a chłop w płacz coby mu ludzie pomogli. Ludzie się śmieją, chłop narzeka, wóz stoi w miejscu, a koń wyszczerza zęby i radby chwycić się chłopa.

— Mój tatusiu, — odezwał się na to Stach, — choć nie mogę dobrze zmiarkować do czego gadkę waszą prowadzicie, ale równie powiem wam, że koń dobrze robi, co nie dba ani o wóz, ani o takiego gospodarza. Żeby nie przymierzając ja ta był tym koniem, to jakbym kopnął, to i wózbym i takiego człowieka roztrącił na piękne.

Wasiak na te słowa zerwał się z siedzenia, oczy zabłyszczały mu niezwykłym ogniem, i chwytając za rękę Tomasza rzekł gwałtownie:

— Tomaszu!... Stach mądrze prawi. Chodźwa z wichrem poszaléć po świecie... chodźcie, chodźcie...

I jakby w obłąkaniu zaczął ciągnąć Tomasza ku drzwiom, roztrącając różne graty gospodarcze, dzieci uderzyły w płacz, Stachowa załamała ręce, a Tomasz opierając się niezwykłéj gwałtowności Wasiaka rzekł:

— Wasiaku! Bóg z wami, przeżegnajcie się i zostawcie wszystko Bogu.

Wasiak przystanął i zdejmując czapkę szepnął.

— Bogu... tak, tak, Bóg Przenajświętszy wszystkiemu zaradzi, Jemu oddajmy się w opiekę.

I z głową opuszczoną ku ziemi, jakby zatopiony w modlitwie, pomilczawszy chwilkę, spojrzał potém na dzieci i wnuki płaczące i z zupełną przytomnością rzekł:

— Stachu i ty Maryś, moje kochane dzieci, jak mnie nie stanie na ziemi, weźcie Tomasza za ojca i opiekuna. Jego słuchajcie we wszystkiém, bo on piśmienny i poczciwy, i co on rzeknie niech się zawdy tak stanie. Mnie już niedługo między wami... już mnie cosić odrywa od ziemi.... a jak zamknę oczy, to kto wam poczciwie poradzi?

— Tatusiu! mój najdroższy tatusiu, — zawołali oboje Stachowie, rzucając się z płaczem do nóg ojca, — nie mówcie tak, nie mówcie, przecieć jeszcze na was dekret śmierci nie napisany.

— Człek sądzi moje dzieci, a Bóg rządzi, — odrzekł smętnie Wasiak, — a my robaki i za pacierz czasu nie wiewa co się stanie.

— Wola Boska mój Wasiaku, — odrzekł na to Tomasz, a Wasiak dodał:

— Prawda, prawda, Bóg najlepszy nasz opiekun. A teraz dzieci poszukajta tam flaszki z gorzałką, po kapce nie wadzi.

Lecz zaledwie kieliszek obszedł koléj, dały się słyszéć na dworze kroki idących, i po małéj chwili w progu budy pokazał się przechylając pod warstwą dymu znany nam Wroniak, a za nim pan Hieronim Podlacki i jakiś jeszcze trzeci, ale ten nie wszedł do izby. (d. c. n.)
